

Fragment książki

Wreszcie nastał ostatni, lecz i najbardziej emocjonujący moment ceremonii: nadanie imienia. Cóż bliższego każdemu z ludzi, jeśli nie imię, którym nazywany był dzień w dzień, od niemowlęctwa? Od tego imienia, które z tak wielką dumą nadał mu ojciec, które z czułością powtarzała matka; od tego imienia, które tyle razy i z tak różnymi odcieniami uczuć wymawiali jego przyjaciele i wychowawcy; jego stryj i jego kuzynki... Skoro jednak narodzić się miał nowy człowiek, stary musiał umrzeć. Zmiana imienia jest bodaj najwymowniejszym znakiem zerwania z tym, co było – aby pójść za Tym, który woła. Jest znakiem tego, że oto umiera się dla świata, umiera się dla siebie samego – aby żyć tylko w Bogu i dla Boga.

— Od dzisiaj nazywać się będziesz... – powiedział prowincjał do pierwszego... do drugiego... do kolejnych nowicjuszy.

Wreszcie zwrócił się do Juliusza, którego serce zabiło mocniej.

— ...brat Wawrzyniec – przełożony wypowiedział swoje własne imię, po czym, zgodnie ze zwyczajem, dodał kilka słów o nowym patronie. – Święty męczennik Wawrzyniec zaczął swe życie dobrze, przeżył je lepiej i zakończył jeszcze lepiej. Przyjąwszy jego imię, naśladowaj i jego życie, a czyniąc jak on, stawaj się godnym, by w jego towarzystwie wielbić Boga w niebiosach, razem z Najświętszą Panną Maryją, z serafickim ojcem świętym Franciszkiem i ze wszystkimi aniołami i świętymi.

I tak, w ową zimową noc roku 1575, umarł Juliusz Cezar, a narodził się brat Wawrzyniec z Brindisi, kapucyn.

[z rozdziału V]

Zmiana imienia, jakkolwiek przejmująco symboliczna i z pewnością pomagająca w podjęciu nowego życia, nie jest jednak wystarczająca, zgodnie

zresztą ze słowami napomnienia, które ojciec Wawrzyniec z Bergamo skierował do grupki nowicjuszy.

Stary człowiek musi umrzeć, a nie zakamuflować się, ukrywając pod nową tożsamością. Do tego służy okres nowicjatu. Młody kandydat podejmuje w jego trakcie całość obowiązków zakonnych. Zarówno on sam, jak i jego przełożeni, mogą się w tym czasie przekonać, czy ta właśnie forma życia jest dla niego odpowiednia. Do mistrza nowicjatu należy weryfikacja szczerości i nadprzyrodzonego charakteru decyzji nowicjusza o wstąpieniu do zakonu, a także właściwe ukierunkowanie jego rozwoju duchowego. Cichy i ukryty – a niekiedy także pełen ciemności i cierpienia – rok nowicjatu jest czasem zapuszczania korzeni. Nic dziwnego, że dłuto Bożej Opatrzności doświadczą niekiedy boleśnie młodych kandydatów! Mają oni wszak stać się żywą podobizną Chrystusa. Zanim zaś kawał niekiedy opornego marmuru stanie się rzeźbą, trzeba zeń odłupać to, co zbędne; trzeba spiłować i wyszlifować to, co niedoskonałe...

Co do najlepszych chęci brata Wawrzyńca nie mogło być wątpliwości. Jego intencje były całkowicie nadprzyrodzone – wstępował do zakonu ożywiony Bożą miłością. Miłość Boga kazała mu szukać doskonałości chrześcijańskiej – jest wszak cechą charakterystyczną miłości, że upodabnia miłującego do miłowanego. Miłość Boga ożywiała miłość bliźnich, zaś miłość bliźnich żądała ofiary i modlitwy za biednych grzeszników, a w przyszłości (jeśli przełożeni tak zadecydują) także dzieł apostołatu. Grzechy – własne i cudze – domagały się pokuty.

Młody nowicjusz pokutował więc z tym większą gorliwością. Drobiazgowo przestrzegał Konstytucji i zwyczajów zakonnych – nie poprzestawał jednak na tym, prosząc ojca Rufina o pozwolenie na podjęcie coraz nowych postów, niewygód i innych umartwień. Współbracia byli zbudowani jego przykładem, tym bardziej, że brat Wawrzyniec pozostawał przy tym pogodny, uczynny i miły w obejściu, okazując zarazem obydwu oblicza solidnego życia duchowego: umartwienie i radość – tak harmonijnie idące ze sobą w parze w żywotach wszystkich świętych.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu przez kuzyna nowicjatu, Krystyna Rubati dopytała się u ojców z Matki Bożej Anielskiej, jak spisuje się Wawrzyniec. Dowiedziała się przy tej okazji, że rzeczywiście stanowi znakomity przykład nie tylko dla pozostałych nowicjuszy, ale i dla samych zakonników z długim stażem. Szacunek i sympatię budziła integralność jego życia; niewinność i pokora, radość i pokuta.

Jak wszyscy inni uczył się poruszać z powagą i statecznością, ze spuszczonej oczyma, z kapturem na głowie, z rękoma złożonymi w rękawach, zachowując „umartwienie, ułożenie i pobożność w każdym miejscu, ale osobliwie w obecności świeckich”, jak głosiły ówczesne instrukcje dla kapucyńskich mistrzów nowicjatu.

Jak inni bracia, w ciągu dnia pracował w ciszy, wykonując rozmaite prace klasztorne – od gotowania i sprzątania, przez uprawianie niewielkiego ogródka po opiekę nad chorymi, przygotowywanie zakrystii i kaplicy do Mszy Świętej, strzyżenia tonsury. Praca nie miała jednak w żaden sposób naruszyć życia modlitwy tych Bogu oddanych ludzi. Obok wielu godzin modlitwy wspólnotowej w ciągu dnia i nocy, rozkład dnia gwarantował nowicjuszom „każdego poranku godzinę albo przynajmniej pół i drugie tyle po nieszporach, aby mogli przestawać sam na sam z Bogiem, utrwalając sobie to, czego On w ciągu dnia zechce ich nauczyć”. Również poszczególne prace w ciągu dnia były poprzedzane modlitwą i ożywiane aktami strzelistymi.

Jak inni bracia, chadzał na kwestę, idąc w kapturze i ze spuszczonym wzrokiem przez ulice Werony. Pukał od drzwi do drzwi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Bracia kapucyni, przez miłość Bożą, proszą o kawałek chleba” lub o jaja, ser, wino, w zależności od tego, czego brakowało w ubogiej klasztornej spiżarni. Jak inni współbracia, bywał przy tych okazjach traktowany grubiańsko; częściej jednak pobożny lud dzielił się z ubogimi zakonnikami tym, co miał do dyspozycji. W takim razie brat Wawrzyniec, nie podnosząc wzroku, pokornie dziękował i wypowiadał słowa wskazujące, kto tak naprawdę najwięcej zyskiwał na danej jałmużnie: „Pan Bóg niech wam odpłaci za waszą chrześcijańską miłość”.

Fundamentem duchowego gmachu jest pokora. Jest to jednak cnota, której niepodobna nauczyć się samemu. Nie będzie pokorny, kto nie spotyka upokorzeń. To z tego powodu nowicjusze kapucyńscy byli surowo napominani przez mistrza, ilekroć dopuścili się bodaj najlżejszego uchybienia. Nie było to powodowane ani okrucieństwem, ani skrupulatną drobiazgowością – lecz właśnie koniecznością zapuszczenia silnych korzeni pokory, bez których drzewo wydające owoc dobrych uczynków nie może wyrosnąć.

Przełożeni z miejsca zdecydowali, że ten nowicjusz, obdarzony bystrością umysłu i znakomitą pamięcią, ma być przygotowywany do kapłaństwa. Toteż do szeregu lekcji praktycznych, obejmujących całokształt życia kapucyńskiego dochodziły także zajęcia zarezerwowane dla przyszłych ojców. Brat Wawrzyniec był prymusem podczas prowadzonych przez mistrza nowicjatu lekcji, kiedy to przygotowujący się do ślubów bracia dowiadywali się, czym dokładnie jest to wyzwanie, które mają zamiar dobrowolnie podjąć na całe życie. *Regulę* znał już na pamięć – teraz jednak przyszło mu poznać dogłębnie jej nakazy i wskazówki. Lekcje obejmowały także *Testament* świętego Franciszka oraz własne *Konstytucje* zgromadzenia – a niezawodna pamięć brata Wawrzyńca rejestrowała wszystko to, o czym była mowa.

Pewnego razu ojciec magister zabrał swoich podopiecznych na wielkopostne kazanie znakomitego dominikańskiego kaznodziei, ojca Ebreetto. Kilka tygodni później kaznodzieja ten odwiedzał klasztor Kapucynów; przy tej okazji przełożony polecił bratu Wawrzyńcowi spisanie z pamięci tego, co zapamiętał z owego kazania – a nowicjusz odtworzył je w całości. Rękopis został pokazany samemu kaznodziei, z prośbą, by zechciał rzucić okiem na to – jak wyraził się żartobliwie kapucyński mistrz nowicjatu – „dzieło jednego z naszych młodzieńców”.

— Ależ! – zawołał dominikanin rzuciwszy okiem na tekst – przecież to jest moje kazanie!

— To prawda – odrzekł kapucyn i wyjaśnił, jak powstał rękopis.

— Proszę, proszę! To się ojcu skarb prawdziwy trafił... Dobrze go użyjcie!

I zaiste, w Wielkim Poście roku 1575 – a więc w pierwszych miesiącach nowicjatu brata Wawrzyńca – wszystko wydawało się układać pomyślnie. Z czasem jednak pojawiły się czarne chmury – a jego zakonna przyszłość stanęła pod znakiem zapytania.

[Z rozdziału XX]

Trzynastu mężczyzn wstało z kolan i powoli, iście procesjonalnie, wyszło z kościoła. Na czele, z kijem zwieńczonym krzyżem w ręku, szedł ojciec komisarz. Kilka kroków z tyłu, ramię w ramię o. Ambroży (który po staremu starał się trzymać blisko przełożonego i być zawsze do jego dyspozycji) i niziutki, lecz pełen werwy o. Franciszek z Tarentu. A dalej, para za parą, kolejni misjonarze: dwaj bracia zakonnicy, którzy zbiegiem okoliczności nosili to samo imię Juliusz; płomienny Sycylińczyk o. Marian i o. Wiktor z Toskanii; młodziutki o. Gabriel z Innsbrucka (jeden z pierwszych owoców tamtejszej misji kapucyńskiej) i jego rówieśnik, o. Bertold z Udine – obaj byli świeżo po święceniach i nie odbyli jeszcze studiów mających uczynić z nich kaznodziejów. Ojciec Wawrzyniec wziął ich ze sobą, aby już na terenie przyszłej posługi dopełnili nauki, poznając tym lepiej tamtejszy język i okoliczności... Za nimi szedł o. Ambroży z Urbino, uchodzący za jednego z najwybitniejszych teologów zgromadzenia i należący do tej samej prowincji marchijskiej brat Angelo z Fano. Pochód zamykali o. Franciszek z Ascoli Piceno i drugi misjonarz pochodzący z krajów niemieckich, o. Angel z Neumarktu. On także pochodził z Tyrolu i zawdzięczał swe powołanie tamtejszym misjom kapucyńskim.

Powolnym krokiem misjonarze oddalali się od weneckiego klasztoru Najświętszego Zbawiciela – a ojciec Kacper z Bergamo, sam mający za sobą kilkuletnią posługę misyjną w Tyrolu, patrzył za nimi ze wzruszeniem, obracając w ręku koronę Różańca. Zapewne czuł, że jeśli ich misja powiedzie się, także on sam niebawem będzie mógł do nich dołączyć – i tym gorliwiej modlił się za dobry początek niełatwego dzieła. Po wyjściu z Wenecji uroczysty

szyk rozluźnił się, a zakonnicy przyspieszyli kroku – mieli wszak do przejścia ponad trzydzieści kilometrów. Pierwszy odcinek, jak zawsze, przeszli w milczeniu, a każdy kończył wtedy własne poranne rozmyślanie bądź dopełniał osobistych praktyk pobożnościowych. Minęły tak prawie trzy godziny, a wilgotny upał weneckiego lata zaczął dokuczać wszystkim piechurom – i wtedy, dla dodania im sił i animuszu, ojciec Wawrzyniec zaintonował swoją umiłowaną pieśń:

Dziewico Święta! Łaska twoje godło.
Tyś bezprzykładnej pokory skrzydłami,
Wzniosła się w niebo, gdzie prosisz za nami;
Tyś nam litości otworzyła źródło,
I słońce prawdy, którego blask złoty
Oświeca wiek ten błędu i ciemnoty.
Ty trzy imiona najśłodsze masz z mowy,
Dziewicy, Matki i Córy!
Tyś Panią Króla jest, który
Krwia Swoją nasze potargał okowy,
Który światu wesele i pokój ogłasza,
Niech serce żalem przejęte,
Rany mu święte opłaci. Zbawczyni nasza!

Ojciec Ambroży podchwycił zaraz; któryś z pozostałych braci z prowincji weneckiej także. Inni mieli nauczyć się wersetów Petrarcki w ciągu kolejnych dni marszu.

Po kilku dniach ojciec komisarz ponownie wchodził w majestatyczną bramę, którą w alpejskim przedgórzu otworzyła sobie Adyga. Ze szczególnym wzruszeniem żegnał – kto wie, na jak długo? Kto wie, czy nie na zawsze? – ojczystą Italię. Znaczna część jego towarzyszy, a zwłaszcza pochodzący z nad morza ojciec Marian i ojciec Franciszek, musiała być tym bardziej poruszona – i widokiem, i świadomością, że oto rzeczywiście wkraczają w bramę pomiędzy dwoma światami, a ten przełom Adygi znaczyć będzie przełom również w ich życiu. Po postoju w Trydencie, gdzie pod patronatem sławnego kardynała Madruzzo kończono właśnie budowę kapucyńskiego klasztoru, weszli w góry.

Od następnej placówki współbraci dzieliło ich kilka dni drogi. W minionych latach jako prowincjał ojciec Wawrzyniec poznał dobrze te okolice, poznał także dobrych ludzi mieszkających w dolinie rzeki. Nigdy jednak nie przechodził tędy z tak wieloma kompanami – toteż przyszło im nocować w warunkach tym mniej wygodnych; co jednak nie miało większego znaczenia. Jeśli głód jest najlepszym kucharzem, to zmęczenie przygotowuje najwygodniejsze posłanie – choćby na ciasnym skrawku podłogi. Głodu jednak nie cierpieli – po trosze zadbał o nich kardynał Madruzzo, po trosze starzy i sprawdzeni dobroczyńcy wędrujących tędy od lat zakonników.

W Innsbrucku powitał ich ojciec Ludwik z Saksonii, dopiero co obrany tutejszym gwardianem. Ten sławny i rozchwytywany kaznodzieja (o jego obecność w ich stolicach zabiegali i nieledwie wadzili się arcyksiążęta Styrii, Tyrolu i Bawarii) przyjmował jednak misjonarzy nie tylko w imieniu tyrolskich kapucynów, ale i całego Cesarstwa. Wręczył komisarzowi listy od samego arcyksięcia Macieja. Cesarski brat i namiestnik w Wiedniu, uprzedzony o rychłym nadejściu misjonarzy, witał ich na ziemiach Najjaśniejszego Rudolfa II, wyrażał radość z ich przybycia i zapewniał o najgościnniejszym przyjęciu czekającym kapucynów zarówno w Wiedniu, jak i w Pradze.

Od Innsbrucka poczynając, gościnność ze strony cesarskich i arcyksiążęcych urzędników rzeczywiście uwydatniła się – stało się tak zresztą na wyraźną prośbę z Rzymu: misjonarze wchodzili zarazem na ziemie w większym stopniu zainfekowane herezją i nie mogli liczyć na szczególną przychylność ze strony mieszkańców; było więc obowiązkiem władz zadbać o nich.

Gorące sierpniowe popołudnie sprzyjało interesowi. Podsalszubska oberża pełna była gości, którzy uznali, że przed dojściem do miasta bądź na krótko przed wyjściem zeń warto odetchnąć chwilę i wypić szklanicę dobrego piwa. Popijając, kupcy i interesanci z czterech stron świata rozprawiali żywo na temat, który – jakkolwiek już od lat często przewodził w salzburskich karczmach i piwiarniach – ostatnio wybuchł nowym fajerwerkiem domysłów i plotek. Oliwy do ognia dolewały doniesienia ze strony tych, którzy dopiero co

z Salzburga wyszli i, rzecz jasna, we własnym mniemaniu byli znakomicie poinformowani.

— Mówię wam – perorował jeden z nich – że lada moment łaskawy Wolf Dietrich ożeni się z panną Salome.

— Nie może być! – odpowiedział mu małomiasteczkowy felczer udający się właśnie do metropolii po medykamenty. – Kto to widział żonatego biskupa!

— Paweł z Tarsu mówi o tym wyraźnie! – skorzystał z okazji lokalny miłośnik teologicznych nowinek. Jakkolwiek jednak któryś z jego przyjaciół mruknął z aprobatą, reszta dyskutantów nie zwróciła nań szczególnej uwagi. Kupiec z Neumarktu, który nie tylko znał jak własną kieszeń całą okolicę, ale w ramach podróży zawodowych wyrobił sobie znakomite kontakty w Wiedniu i Innsbrucku (a może i po drugiej stronie Alp), przychylił się do zdania pierwszego z rozmówców.

— Że nikt nie słyszał o żonatym biskupie, to prawda. Ale bo to nie może nasz Wolf Dietrich być pierwszy? Pewien jestem, że pisał już do Rzymu o pozwolenie...

— Ale bo też mu dadzą! – nie poddawał się felczer.

— Prawda – wtrącił karczmarz. – Prowadzenie się księcia biskupa raczej nie jest szczególnie budujące; a w Rzymie, zdaje się, teraz przyszła moda na poczciwość.

— Już też pan nie przesadzaj! – odezwał się znowu nowinkarz. – Rzym jest zepsuty do szpiku kości, a z kolei prowadzenie się Wolfa Dietricha nie jest aż takie skandaliczne. Najgorsze jest to, że uparcie trzyma się papieża i nie chce pogonić ze swoich włości jezuitów i kapucynów!

Felczer spojrzał nań spode łba, ale nie dał się sprowokować. Dziwnie by się czuł atakując katolickiego biskupa w dyskusji z protestantem... Lepiej poczekać, aż powie coś dobrze poinformowany salzburczyk: jemu można będzie odpowiedzieć. Jakoż ten ostatni nie dał na siebie czekać:

— Prawda, że przynajmniej jest dyskretny... – zaczął.

— Taka tam jego dyskrecja! – przerwał felczer. – Cały Salzburg, cały Tyrol i połowa Cesarstwa o sprawie wie. Nawet w moim miasteczku ludzie o nich gadają.

— W istocie – dodał karczmarz, z racji zawodu także należący do kategorii ludzi dobrze poinformowanych. – Zresztą, obaczycie panowie, że lada moment uszlachci pannę Salome i całą jej gromadkę!

— A ja słyszałem, że tak naprawdę, to oni się pobrali już dziesięć lat temu, tylko potajemnie, żeby mu kariery nie spsuć. Ot, katolicka obłuda! – wtrącił się znowu protestant. – Ot i kłopot: nie zgorszenie, a ambicja!

— To być nie może! – tym razem zgodnie zawołali felczer i salzburczyk.

Kupiec z Neumarktu nie był zaskoczony pogłoską znaną mu już od lat i dawno temu uznaną za niewiarygodną.

— Tak czy owak – podjął więc spokojnie swoją myśl – pewien jestem, że stara się o pozwolenie na to, by godzić obowiązki męża, ojca i biskupa. I pewnie dobrze się zastanowia, zanim mu go odmówią. Jeśli nie z pobłażliwości, to z obawy, że do dysydentów przystanie. Już też mi mój znajomy z Wiednia, bardzo zamożny człowiek, pan Ärmste, który jest kalwin zagorzały, napomykał o tym, że kto wie, czy się księżę biskup także nie sprostanci, co by mu bardzo na rękę było.

— A to ci dopiero! – westchnął felczer. – Nie dopuść Boże, żeby biskup na herezję przeszedł! Toż by zgorszenie było!

Nowinkarz, który rzecz jasna serdecznie nie znosił słowa „herezja”, już chciał wychodząc od tego epitetu skierować dyskusję na ulubione tematy. Wtem jednak umilkł znienacka gwar przy stołach położonych bliżej drzwi. Oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę.

— Pochwalony Jezus Chrystus! – powiedział ojciec Gabriel wchodząc do gospody. Kilka głosów odpowiedziało na pozdrowienie; większość gości

patrzyła tylko z zaciekawieniem na przybysza. Nowinkarz i paru jego kompanów łypnęli spode łba; któryś splunął z niesmakiem na podłogę. Nie zwracając uwagi na to raczej niezbyt zachęcające przyjęcie, o. Gabriel kontynuował:

— Przez miłość Pana Jezusa i Jego Przczystej Matki, bracia kapucyni, w liczbie trzynastu, proszą o kawałek chleba i trochę wody z winem.

— Kapucyni! – szepnął uradowany felczer. – Trzynastu! Pewno do Salzburga idą!

— E tam! – odpowiedział salzburczyk. – U nas już są i wiedziałbym, gdyby mieli drugi klasztor otwierać. Zresztą i na cóż im dwa w jednym mieście? Żle im nie jest na Kapuzinerbergu!

— Pan Ärmste wspominał coś o tym – wtrącił kupiec z Neumarktu. – Obawiał się, że Najjaśniejszy Maciej do Wiednia ściągnie kapucynów...

Ojciec Gabriel, który dotąd otrzymał pół bochenka chleba i kawał sera, podszedł tymczasem do ich stołu, ponawiając prośbę. Nowinkarz tym razem nie wytrzymał i warknął na zakonnika:

— Diabli by was porwali, wilki parszywe! I jeszcze uczciwych ludzi obżerać chcecie!

Słyszając to, felczer bez wahania sięgnął po sakiewkę.

— Gospodarzu! – zawołał. – Napełnij no tym świętym braciszkom bukłaki dobrym winem!

Z trudem udało się ojcu Gabrielowi uprosić, żeby wino choć trochę rozcieńczono. Ze swojej strony karczmarz dodał im wędzoną rybę – i chwilę później kwestarz wyszedł z gospody z dobrym obiadem dla całej drużyny. Posilili się paręset kroków dalej, w cieniu szerokiego dębu, z dala od zgiełku karczemnych rozmów i awantur. Przed zmierzchem dotarli zaś do salzburskiego klasztoru. Nie zatrzymali się w nim jednak na długo. Wypoczęli do północy, kiedy to mimo zmęczenia wstali na jutrznię (ojcu komisarzowi

bardzo zależało na tym, żeby nowa misja wyrosła na fundamencie doskonałej obserwacji). Dospali do rana, kapłani odprawili Msze święte, ojciec Wawrzyniec zamienił jeszcze parę słów z gwardianem, prosząc o rady na dalszą drogę i na początki misji – po czym opuścili do tej pory najdalej wysunięty w tę stronę bastion ich zakonu, Kapuzinerberg, ruszając dalej na północny wschód.

[z rozdziału LIV]

„Żeby więc być gotowym, zatrzymałem się na noc w klasztorze Ojców Kapucynów. Skoro zaś nadeszła północ, wstał ojciec Brindisi, a ja także i obydwaj weszliśmy do klasztornej oratorium. Ojciec przygotował się i rozpoczął swoją Mszę, ja zaś asystowałem mu, klęcząc na gołych kolanach. Demon jednak kusił mnie na przeróżne sposoby. Gdy zaś przyszedł czas przyniesienia ampułek z winem i wodą na *offertorium*¹, podniosłem się i poszedłem po nie. Ojciec zaś Brindisi spojrzał na mnie i wyciągnąwszy rękę, pogroził mi palcem. Zrozumiałem wówczas, że ojciec przejrzał moje myśli, poznał pokusy, jakich doznawałem i ostrzegł mnie, bym z nimi walczył.

Po ofiarowaniu ukląknę z powrotem na moim miejscu, a ojciec kontynuował Mszę. Kiedy zaś przyszedł do *Memento* przed podniesieniem, ja – czując wielkie zmęczenie – podniosłem oczy, żeby zobaczyć, co robi ojciec, bo bardzo długo to trwało. I ujrzałem, że był on zawieszony z ciałem w powietrzu. Wtedy wstałem, żeby zobaczyć, cóż to była za rzecz. Nie dowierzając zaś oczom, rękami zacząłem macać pod jego stopami, żeby zrozumieć, gdzie je opierał. I poznałem, że unosił się na około łokieć ponad posadzkę, nie mając żadnego oparcia. Pomyślałem wówczas, że może ze zmęczenia wspierał się na ołtarzu. Poszedłem więc popatrzeć z drugiej strony i spojrzałem mu w twarz, i widziałem, że miał ręce złożone w tym geście modlitwy, jak to zwykle

1 (Łac.) ofiarowanie – część Mszy świętej [przyp. red.].

robią kapłani przy *Memento*, oczy zaś miał wzniesione do nieba i sam był w ekstazie. Mogłem tedy dogodnie spoglądać na niego z każdej strony i dotykać go z wielką ciekawością. I odkryłem, że jego ciało nie dotykało także ołtarza, ani nie opierało się o rzecz żadną, ale wisiało w sposób nadprzyrodzony w powietrzu, i było to cudem. Kiedy zaś skończyłem te oględziny, oczywistość cudu przywiodła mnie do wielkiej skruchy, co pomogło mi zwyciężyć pokusy i postanović sobie wierną służbę Bogu oraz czynienie pokuty.

Wróciłem więc na moje miejsce i ukląknęm jak wprzódy, ojciec zaś wisiał tak w powietrzu jeszcze przez około półtorej godziny. Potem zaś na nowo podjął odprawianie Mszy i przyjąłem z jego ręki Komunię. Trwała ta Msza około dziesięć lub dwanaście godzin, to jest od północy do południa – tak, iż kiedy dobiegła końca, był czas obiadu.

Kiedy zaś skończyła się Msza i dziękczynienie, wezwał mnie ojciec Brindisi i upomniął, abym opierał się pokusom i powiedział mi wszystkie pokusy, jakich w czasie tej Mszy doznałem i opowiedział mi wszystkie moje najbardziej skryte myśli i wszystko to, co zrobiłem i jak się zachowałem. I we wszystkim tak właśnie, jak powiedział, było rzeczywiście. Stąd zrozumiałem bez wątpliwości, że przejrzał on moje serce i że prawdziwie posiadał ducha proroctwa i czytał w cudzych sumieniach i że doznawał łaski ekstazy oraz nadprzyrodzonych objawień. I od tamtej pory zawsze tak uważałem i po dziś dzień mam to za prawdę pewną, bez cienia wątpliwości”.